

Rodziejczówna

Pod koniec grudnia 1939 roku do Pabianic przybyła Maria Rodziejczówna (1864 -1944) - popularna w okresie zaborów oraz w międzywojniu powieściopisarka - wraz ze swoją nieodłączną przyjaciółką, Jadwigą Skirmunttówną. Staruszki uciekały z Polesia, gdzie Sowieci skonfiskowali majątek Rodziejczówny. Posługiwały się fałszywymi dokumentami jako Wołynien Deutsche. Po krótkim pobycie w Pabianicach kobiety przewieziono do Konstantynowa.

Jadwiga Skirmunttówna „Pani na Hruszowej. Dwadzieścia pięć lat wspomnień o Marii Rodziejczównie” : (...) W czasie tych dni świątecznych zawiadomiono nas, że trzeciego dnia świąt transport nasz rusza i że na siódmą rano musimy być w punkcie zbornym, gdzie będzie rewizja rzeczy i dokumentów wyjazdowych. Mróz był trzaskający - 18 stopni C - i kochani państwo Korzeniowscy zegnali nas z żalem i strachem, jak tę podróż zniesiemy. Ale innej rady nie było.

Gdyśmy przyjechały na oznaczone miejsce, rewizji naszych rzeczy nie robiono i wkrótce autobusem odesłano nas do pociągu, który stał przed mostem na Bugu. Gdyśmy się do wagonu dostały, okazało się, że wszyscy w tym przedziale byli Polakami, ale okazało się też, że wagon ten ma popsute palenisko, tak że chłód był wielki, a tak długo trwały formalności, że dopiero o zmroku ruszyliśmy w drogę. Pomimo, że początek podróży zachęcający nie był, z radością i wzruszeniem przejeżdżałyśmy most na Bugu! Mogły nas czekać i czekały rzeczywiście ciężkie przejścia, ale wiedziałyśmy jedno, że bolszewicy i zbuntowani chłopcy polscy zostali za nami i to jedno radosne uczucie dodawało nam odwagi i otuchy.

Jechałyśmy do polskiej, swojej Warszawy.

Dopiero wieczorem w Terespolu dano nam gorącej zupy, a potem całą noc i dzień następny marzłyśmy i głodowały, i minąwszy nad ranem Warszawę, wieczorem stanęliśmy w Pabianicach. Zawieziono nas autobusem do tak strasznego pomieszczenia, pełnego już ludzi leżących na słomie, że dopytawszy się, iż niedaleko jest oddział Czerwonego Krzyża, poszłam błagać, żeby nas tam przyjęto, i wkrótce mogłam Rodziejczównę tam przeprowadzić.

Dostałyśmy dwa łóżka na ogólnej Sali i wydało się to nam rajem w całym tego słowa znaczeniu. Nazajutrz na nasze pytania, kiedy pojedziemy do Warszawy, odpowiadano niewyraźnie, zaznaczając, że musimy się w każdym razie przed tym wykapać. Poszłam więc zbadać, jak ta kąpiel wygląda, ale warunki, w których się ona odbywała, były tak straszne przy coraz silniejszym mrozie, że zrozumiałam, że Rodziejczówna tego w żadnym razie nie wytrzyma.

Wyratował nas młody doktor Czerwonego Krzyża, którego poprosiłam do Rodziejczówny i którego ona tak ujęła znajomością Schillera, bo wiersz zacytowany przez niego bez namysłu dokończyła, że zdecydował się wziąć naszą kąpiel i „odwzienie” na swoją odpowiedzialność i wydał nam świadectwo, że kąpeli nie potrzebujemy. Dzięki temu po dwóch dniach ruszyliśmy dalej tramwajem i zostałyśmy zawiezione do Konstantynowa pod Łodzią, do pustej fabryki, gdzie zostałyśmy umieszczone w ogromnej sali o 40 dużych oknach, ogrzewanej dużymi żelaznymi piecami, i gdzie dostałyśmy miejsca na niskich narach ze słomą.

Na świecie był to sylwestrowy wieczór. Myślałyśmy o tym i o dawnych wspomnieniach, leżąc obok siebie na słomie, w nieświadomości co nas dalej czeka, kiedy nas puszczą do Warszawy i jak wytrzymamy ciężkie miejscowe warunki. To był obóz, których potem tyle się w naszym kraju namnożyło, na szczęście nie obóz karny, ale w każdym razie obóz zamknięty bramami dziedzińca, dający żywność bardzo niewystarczającą, a już wprost niemożliwe pod względem higienicznym warunki utrzymania czystości i codziennego życia.

Do ubikacji ogólnych i wspólnej umywalni trzeba było iść przez mroźny dziedziniec i obozujący z nami doktor powiedział mi, że o wiele lepiej wcale się nie myć, jak myć się w takich warunkach, bo

ludzie się z konieczności przeziębiali i zarażali.

Którejś nocy po zjedzeniu zupy z konserwami mięsnymi, a tzw. obiad, tj. zupa, był zwykle koło czwartej – Rodziewiczówna dostała tak strasznych kurczów żołądkowych, że z przerażeniem zobaczyłam, że ma czoło pokryte zimnym potem i tętna już doliczyć się nie mogłam. Powiedziała mi spokojnie: „Musimy się pożegnać, bo ja umieram”. Ukłękłam i zaczęłam się przy niej modlić, ale po chwili zrozumiała, że trzeba próbować ratunku. W mig na żarze w piecu zagrzałam wody i przyłożyłam jej gumowy worek z gorącą wodą. Po kilku minutach tętno zaczęło się poprawiać, kurcze ustały i raz jeszcze mój druh kochany był uratowany.

Dni za dniami mijały ciężko i beznadziejnie; nie było książek ani cienia zajęcia; na pytania nasze o wyjazd odpowiadano szorstko albo wzruszano ramionami, mrozy doszły do 33 stopni. Raz jeden spotkała nas wielka radość: oto przyjechali nas odwiedzić wielcy przyjaciele Rodziewiczówny. Mazarakowie z Żeromina pod Łodzią (obok Tuszyna). Nie znałam ich jeszcze wtedy, ale kiedy prowadzący nas dozorca pokazał mi z daleka pana M., i zapytał mnie: Kennen Sie diesen Mann? – odpowiedziałam spokojnie: - Natürlich, i dopiero witając się, zapytałam cicho o nazwisko. Mogłyśmy rozmawiać niedługo i to w kancelarii przy świadkach, ale w każdym razie mogłyśmy ich po cichu prosić, żeby nas ratowali. Obiecali, że będą się starać nas do siebie ściągnąć, zrozumieli i widzieli, jak nam ciężko, i w każdym razie wróciłyśmy na salę pocieszone myślą, że ktoś już o naszej niewoli wie i będzie nas ratować. Parę dni potem przyszła od nich duża paczka z cudowną cielęciną, masłem i niezbędnymi drobiazgami. Potem nastąpiły obostrzenia, następna paczka została zwrócona, i nikogo już do nas nie puszczono, choć i Mazarakowie, i siostry urszulanki z Łodzi próbowali do nas się dostać.

Na pociechę miałyśmy już paczkę obozowych przyjaciół: profesor Piekarski, były kurator liceum w Krzemieńcu, przychodził do nas na gawędki polityczne i w bardzo mądry sposób dodawał nam ducha; młodziutka i przemiła pani Rylska przynosiła zdrową zupę. Ludzie zwiedzieli się, że ta starsza pani o obcym nazwisku to Rodziewiczówna, i przychodzili tak licznie do naszego kącika, że aż się bałam, żeby to nie zwróciło uwagi, a nieraz obcy zupełnie zaczynali od tego: „Niech się pani nie boi, my pani nie wydamy”. I rzeczywiście w tym mnóstwie nieznajomych ludzi incognito nasze zostało szczęśliwie do końca zachowane i nikt nas nie zdradził.

Pewnego dnia kazano nam wszystkim wyjść na dziedziniec i przybyły świeżo oficer oznajmił, że wkrótce będziemy się z obozu rozjeżdżać, więc ci, co się uważają za Polaków, niech się zadeklarują podniesieniem ręki. Mało kto ręki nie podniósł: wtedy kazano tym, którzy chcieli jechać do Warszawy, czy do tzw. General Gouvernment, wystąpić z szeregów. Wystąpiło nas dużo, rozdzielono więc od tych, co chcieli jechać w Poznańskie czy na Śląsk, i spisano nasze nazwiska. Ogarnęła nas ogromna radość, że wkrótce niewola się skończy i znajdziemy się wśród swoich, ale miałyśmy jeszcze przed sobą wiele ciężkich do przebycia chwil.

Nareszcie w ostatnim tygodniu stycznia kazano nam być w pogotowiu, bo wieczorem wyjedziemy. Bliższe nasze kółko po prostu z radości padało sobie w objęcia. Wieczorem załadowano nas do przemrożonych tramwajów w Łodzi i poprowadzono piechotą, ale niestety nie na stację, tylko do sławnego później obozu zlokalizowanego na ulicy Łąkowej w pustej fabryce.

Kiedy po spisaniu naszych danych zostaliśmy wprowadzeni do wyznaczonej nam Sali, ogarnęła mnie po prostu groza. Sala była ogromna i zimna, z betonową podłogą, na której leżało trochę wilgotnej słomy bez żadnych prycz. Jak my tu wytrzymamy?

Byłyśmy całe zziębnięte i z trudem namówiłam Rodziewiczównę, żeby się jednak położyć i zagrzać. Rozłożyłam, co miałam z watowanych ciepłych rzeczy, i położyłyśmy się obok siebie kożuszkach, naciągając na siebie, co tylko się dało.

Kiedy rano zaczęłam się ruszać, wszedł jakiś nieznajomy pan i zaraz zbliżył się do nas, mówiąc, że by tu już w nocy, a przychodzi od Mazarakich, nazywa się Zaar i sam z innym z innym Łodzianinem jest internowany w tymże gmachu na piętrze. Prosił o zachowanie spokoju i zapewniał, że przyjaciele o

nas pamiętają i uczynią wszystko co tylko możliwe, żeby nas stąd wydostać. Przyniósł nam butelkę wina, porcję szynki, obiecał odwiedzić i dodawał otuchy. Była nad nami znów opieka Boża i pomoc dobrych ludzi, a pora na ratunek była już wielka, bo byliśmy obie przeziębione i długo w tych warunkach nie mogłybyśmy wytrzymać. Myć się można było tylko na dworze przy ciężkim mrozie. Wszystko to było bez porównania gorsze niż w Konstantynowie.

Następnego dnia przyszła przygodna siostra Czerwonego Krzyża opiekująca się tą grupą internowanych łodzian i obiecała, że zabierze nas na piętro, gdzie została zorganizowana izba chorych. Wkrótce nas tam rzeczywiście przeprowadzono. Dostałyśmy wprawdzie na nas dwie jedno łóżko, ale było to łóżko, a nie beton. Dziękowałyśmy Bogu ... gorączkowałyśmy jednak obydwie i trzeba się było spieszyć z ratunkiem, żeby nie było za późno; tej samej nocy zmarły w naszej sali dwie osoby.

Nazajutrz wieczorem pojawił się jakiś urzędnik, oznajmiając nam, że cztery z naszej izby chorych mają zostać zwolnione, a w ich liczbie także my dwie. Myślałyśmy więc, że następny dzień przyniesie nam swobodę, a tymczasem rano czekała nas klęska. W nocy zepsuło się centralne ogrzewanie i z pękniętych na drugim piętrze rur zaczęła nad ranem lać się na nasze łóżka woda ... nie kapać, a właśnie lać się. Zerwałam się natychmiast, żeby nasze łóżko trochę przesunąć, bo lało się wprost na posłanie; i znowu miałam uczucie grozy – czy nas w porę uratują?

Cały dzień minął na gorączkowym oczekiwaniu na zwolnienie ... Ostrzegano mnie, że komendant obozu – Sauer – jest morfinistą i strasznym wprost człowiekiem, ale kiedy do czwartej nie przyniesiono nam decyzji o zwolnieniu, zrozumiałam, że lepiej zaryzykować spotkanie z komendantem. Przeżegnawszy się, poszłam do kancelarii.

Komendant przyjął mnie bardzo ostro, a kiedy w rozmowie powiedziałam: Ach, mein Gott, wyłajał mnie, że nic go to nie obchodzi, co ja z moim „Gott” mam do czynienia, że o żadnym zwolnieniu nas nie wie itd... Ale sekretarka, znając go widocznie bardzo dobrze, skorzystawszy z chwili przerwy, podsunęła mu pokornie gotowe już jednak papiery, które po namyśle podpisał...

Wracałam do naszej izby na skrzydłach, z papierem w ręce. Rzeczy miałyśmy już gotowe, miejscowi przyjaciele sprowadzili nas do bramy, za którą czekała dorożka... Byłyśmy wybawione! Dorożkarz, lokując nas, zwrócił się do Rodziewiczówny: „To pani jest Rodziewiczówna? Ja książki pani znam, dobrze pani pisze”. Z tą prostą i szczerą pochwałą, z sercem pełnym radości ruszyliśmy spod bramy obozu, udając się do poleconej nam siostry jednej z naszych opiekunek Czerwonego Krzyża – pani Jasieńskiej.

Póki byłyśmy w , powiedziałam , musiałyśmy używać przybranych nazwisk, ale kiedy poznałyśmy panią Jasieńską, powiedziałam jej na ucho, że to Rodziewiczówna. Ucieszyła się, przyjęła i ugościła nas sercem całym.

Tylko ci, co przeszli obozową niedolę, mogą zrozumieć, z jaką rozkoszą znalazłyśmy się w normalnych warunkach życia! Po raz pierwszy od miesiąca mogłyśmy się porządnie umyć, zmienić bieliznę ... po raz pierwszy miałyśmy, każda swoje, czyste łóżka! Następny dzień przeleżałyśmy, wypoczywając, dziękując Bogu i tając moralnie w polskiej, serdecznej atmosferze! (...)

Po dwóch dniach pojawił się wysłaniec od państwa Mazarakich z Żeromina i w bardzo mroźny, wietrzny dzień, otulone futrami i pledami, udałyśmy się pod nowy gościnny dach.

Zdawało się, że to wszystko sen!

Gospodarze byli w Warszawie, ale administracja przyjęła nas sercem całym. I znów był szereg rozkosznych wrażeń; dobry obiad, ciepłe łóżko, a przede wszystkim szczęście, że niedola obozu oddala się od nas jak zły sen.

Zarządzającym by pan Webr, znający Mołodów i nasze rodzeństwo, a kochana jego żona otoczyła nas

najcieplejszą opieką i nigdy nie zapomnę, z jaką serdeczną prostotą przyniosła nam, widząc nasze ubóstwo, różne rzeczy pozostałe po jej matce, rzeczy, które stale nosiliśmy w następnych latach. Po dwóch dniach przyjechali kochani Mazarakowie; witałyśmy ich jak zbawców, bo gdyby nie ich pamięć o nas i ich starania z pewnością nie wyszłybyśmy żywe z obozu na Łąkowej. Nasi towarzysze niedoli byli trzymeni tam jeszcze przez cały miesiąc, a sąsiadki Mołodowa panie Wydźga, które były tam jednocześnie z nami – babka, synowa i wnuczka – umarły wszystkie trzy wkrótce po naszym uwolnieniu.

W Żerominie spędziłyśmy jeszcze parę dni; ciągnęło nas do Warszawy. Trzeba było się leczyć i stworzyć sobie jakieś możliwe warunki życia. Ja miałam jeszcze trochę nadziei, że znajdę może jakiś ślad życia rodzeństwa. Jednym słowem – po paru dniach kochany pan Mazaraki odwiózł nas swoim samochodem do Warszawy. Do stolicy dotarliśmy wieczorem 6 lutego 1940 r.

Emilia Padoł „Rodziewiczówna – gorąca dusza”, Warszawa 2022 r.: (...) Wkrótce Marię i Jadwigę czeka wyprawa. Wydostaną się z Brześcia dzięki zmianie nazwisk na niemieckie. Plan wydaje się absurdalny, ale widmo zimowej deportacji w głąb Rosji straszy coraz bardziej. W mieście Trzecia Rzesza organizuje komisję, która ma kwalifikować do ewakuacji osoby pochodzenia niemieckiego. Przerzut będzie obejmować mieszkańców Śląska i Wielkopolski, ma nad nim czuwać Czerwony Krzyż. „Postanowiłyśmy tylko zmienić nazwiska, bo nasze były zanadto w Brześciu znane, poszłyśmy do komisji zapisać się na wyjazd jako pochodzące ze Śląska i z łatwością zostałyśmy przyjęte” – napisze Jadwiga, konfabulując nieco, bo przecież chodziło o zmianę nie tylko nazwiska, ale i całej tożsamości. Musiały przekonać komisję, że mają niemieckie korzenie.(...)

Rodziewicz stała się Anną Wirtz; Jadwiga – Franciszką Seidel. Obie panie mówią po niemiecku perfekcyjnie.

Dokumenty załatwia dla Marii i Jadwigi organizacja podziemna. Z fałszywymi papierami wyjeżdżają z Brześcia 27 grudnia, kiedy mróz trzaskający wbija się w ciała, paraliżuje je – jest osiemnaście stopni na minusie. Najpierw jadą autobusem do pociągu, który stoi przed mostem na Bugu. W ich wagonie są, jak się okazuje, sami Polacy, ale i zepsute palenisko. Ruszają dopiero wieczorem. Gdy tylko przejeżdżają przez most i granicę zarazem, w Terespolu dostają po kubku gorącej zupy. Następnego dnia wysiadają w Pabianicach. (...) Od mycia i odwszenia ratuje je znajomość Schillera. Młody lekarz Czerwonego Krzyża cytuje wiersz niemieckiego poety, Maria dopowiada jego ostatnie wersy. W zamian dostają świadectwo, że kąpiele i dezynfekcji nie potrzebują. (...)

Jan Głuszenia w książce „Tak chciałam doczekać”, Warszawa 1992 r. opowiada o Marii Rodziewiczównie, którą wybuch drugiej wojny światowej zastał w Hruszowej k. Kobrynia. Została wysiedlona z majątku w październiku 1939 roku po zajęciu terenu przez Armię Czerwoną. Na podstawie fałszywych dokumentów przekroczyła granicę okupacji niemieckiej i wraz ze swoją przyjaciółką znalazła się w ... Pabianicach.

(...) W tej sytuacji obie starszki wynająły furmankę i pojechały do Siemiatycz, aby przeprowadzić się łódką – nielegalnie – na stronę niemiecką. Ale nie powiódł się im ten plan, raz za wolno szły, innym razem zawrócił je patrol, a kiedy indziej zdradził je kaszel Marii – przewodnik odmówił ponawiania dalszych prób dotarcia do przystani. Wróciły więc autobusem do Brześcia.

Tymczasem w dawnej stolicy województwa pińskiego rozpoczęła urzędowanie komisja niemiecka do spraw repatriacji obywateli niemieckich: tj. Niemców oraz osób pochodzących ze Śląska i Poznania. Dzięki znajomościom z tworzącym się już miejscowym podziemiem Maria kupiła fałszywe dokumenty dla siebie - na nazwisko Anny Wirtz (tak się nazywała jej gospodyni) i dla przyjaciółki (jako Franciszki Seidel). Obie uchodzą teraz za Wołynien Deutsch. Jedna ze znajomych pań z komisji powiedziała Rodziewiczównie, że pojedzie transportem do Łodzi -pod opieką Czerwonego Krzyża, a po trzech dniach kwarantanny wyruszą do Warszawy. (...) Wbrew obietnicom pociąg o świcie minął Warszawę. Uzbrojeni żandarmi stali przy drzwiach wagonów. I dopiero zatrzymali się wieczorem w Pabianicach.

Podróżnym kazano wysiąść. Nocleg na wiązkach słomy, rozłożonych na cemencie. Po interwencji Jadwigi Skirmuntówny w Czerwonym Krzyżu – staruszki otrzymały dwa łóżka na ogólnej sali. Po kilku dniach pobytu (2 stycznia 1940 roku) ciężarówkami przewożą nieszczęsnych podróżnych do obozu kwarantanny w Konstancynie. (...)

Rodziewicz Maria – powieściopisarka, ur. 2 II 1863 w majątku Pieniuchy (Grodzieńszczyzna), zm. 16 XI 1944 w Żelaznej k. Skierniewic.

R. pochodziła z rodziny szlacheckiej, zasłużonej w walce o niepodległość Polski. Rodzice po powrocie z zesłania na Syberię za udział w powstaniu styczniowym wysłali R. na pensję do klasztoru w Jazłowie, prowadzoną przez Zgromadzenie s. Niepokalanek, której dyrektorką była bł. Marcelina Darowska. Tam otrzymała staranne wykształcenie humanistyczne (religia, literatura pol. i obca, wymowa, retoryka, języki: francuski, niemiecki, włoski, historia, historia sztuki, historia filozofii). Po trzech latach musiała wrócić do rodzinnego dworu w Hruszowej na Polesiu, gdzie pracowała w gospodarstwie, sama się kształciła, utrzymując przez kilkanaście lat kontakt listowny z niepokalankami. W 1882 wysłała pierwsze opowiadania do „Dziennika Anonsowego”, w którym pracowała M. Konopnicka; napisała też pierwszą powieść „Kwiat lotosu”. W 1886 zdobyła popularność utworem „Straszny dziadunio”, a w 1888 otrzymała nagrodę „Kuriera Warszawskiego” za powieść „Dewajtis”, uznaną za najbardziej reprezentatywną dla jej twórczości. W czasie I wojny światowej przebywała w Warszawie, angażując się w pomoc dla rannych. Po wojnie polsko-bolszewickiej wróciła do Hruszowej. Wraz z wybuchem II wojny światowej, w kilkanaście dni po zajęciu 22 IX 1939 Hruszowej przez Sowieców, opuściła na zawsze dom rodzinny i udała się do okupowanej przez Niemców Warszawy. (...)

Książki R. były tłumaczone już za jej życia na wiele języków (czeski, angielski, niemiecki, hiszpański, litewski, węgierski, serbsko-chorwacki).

Twórczość R. odnosi się do wartości, które od wieków formowały kulturę polską, jak miłość do ziemi, dbałość o poziom życia rodzinnego, który w głównej mierze jest domeną troski i pracy kobiety, poświęcenie dla ojczyzny, prawość sumienia, troska o wykształcenie, dalekosiężne ideały, cześć dla Boga, a które na skutek zaborów i powstania nowych ideologii (socjalizm, nihilizm) były w coraz większym stopniu osłabiane, grożąc utratą tożsamości i dalszej egzystencji narodu. Z tego względu twórczość R. była ceniona przez czytelników zarówno w czasie zaborów, jak i w okresie międzywojennym (w latach 30. XX w. była nawet bardziej popularna niż powieści H. Sienkiewicza), natomiast w okresie PRL-u wysokiej. była dezawuowana bądź przemilczana przez ówczesną krytykę literacką, a nawet instytucjonalnie dyskryminowana przez wycofywanie jej dzieł z bibliotek publicznych, z tego powodu, że ukazywane przez nią ideały były dokładnym przeciwieństwem ideologii komunistycznej dążącej do pozbawienia Polski niepodległości, a narodu – religii i kultury wysokiej. Sienkiewicz w uznaniu jej talentu napisał: „Twój wielki talent wiodła nie tylko wyobraźnia, ale i sumienie, więc był on jak dzwon, którego głos brzmiał dlatego tak donośnie i czysto, że w spż okregu było w nim hartowne i uczciwe serce Polski”. Piotr Jaroszyński (Powszechna Encyklopedia Filozofii, Lublin 2007 r.)

[Wikipedia.org - Maria Rodziewiczówna](https://pl.wikipedia.org/wiki/Maria_Rodziewiczowa)

Autor: Sławomir Saładaj

